

Jan Izydor KORZENIOWSKI

Moje czytanie książek

Pierwszą książką, jaką przeczytałem w życiu był *Elementarz* Mariana Falskiego. Czytałem go dwa lata: rok przed szkołą, drugi raz w pierwszej klasie. Umiałem też na pamięć czytanki (*Ala ma kota*) i wierszyki typu: *Abecadło z pieca spadło*, no i inne.

Kiedy już umiałem biegle czytać, to siedząc pod rozłożystym dębem, wyrosłym chyba milion lat temu, koło domu gospodyni Kosowskiej, zaczytywałem się w broszurowych wydaniach *Tarzan – władca małp*, o tym jak jego małpa-matka broniła go przed złym małpiszonem-samcem, jak Tarzan mając zaledwie kilkanaście lat zabijał lwy, a w razie potrzeby – tak dla rozrywki – murzynów z plemienia *Niam-Niam*.

O małpie Cheece i Weissmullerze, oczywiście, nie miałem jeszcze zielonego pojęcia. Tak uwielbiałem Tarzana, że wcielałem się w jego postać i spinałem się po drzewach, było, że i spałem na dębie... Do czasu, aż spadłem z niego...

No i na tym skończyłem moje czytanie książek.

*

Zaczął się koszmar okupacji i niszczenia wszystkiego, co wiązało się z polskością: Niemcy, zamurowali na frontonie wadowickiego kościoła parafialnego tablicę poświęconą Henrykowi Sienkiewiczowi, wyrzucili księży z plebani oraz Domu Katolickiego i zrabowali z ich pomieszczeń meble, rozbili posąg Juliusza Słowackiego w gimnazjum...

Szkoły zlikwidowano. Zostawili tylko ich namiastkę.

Po następną książkę dopiero sięgnąłem po likwidacji szkolnej biblioteki Szkoły Wydziałowej Żeńskiej imienia Jego Wysokości cesarza-króla Franciszka Józefa I w Królewskim już nie-Wolnym Mieście Wadowitz, w której to szkole mieszkaliśmy jako rodzina Tercjana¹.

Nie sięgnąłem po książkę, aby ją przeczytać – o nie! Lecz po to, aby ją... ratować. Do dziś mam w oczach sylwetkę gestapowca z trupa czaszką na czarnej czapie jak wywalał polskie książki z półek i gablot szkolnych. Niektóre z nich kartkował i szyderczo rzucał na podłogę. Ojcu drgały palce, co było wyrazem zdenerwowania i wewnętrznego silnego napięcia. Lęk udzielił się i mnie, stałem jak kołek i zdrętwiały mimowolnie szukałem dłoni ojca.

Książki zasłoniły podłogę, miejscami powstały ich stosy. Hitlerowiec deptał po nich

¹ Ojciec autora, Józef Łopata (1897 – 1955) pełnił funkcję tercjana (woźnego) w szkole od 1938 r.

i nienawistnie kopał. Towarzyszący cywil milczał, widać było, że i on się bał. W każdym razie – uprzejmie nadskakiwał.

Kiedy wyszli ojciec zamknąwszy budynek szkoły na klucz, wrócił, usiadł na krześle i zapalił skręta z machorki. Odpoczywał, napięcie malało i rumieńce wróciły na blade policzki.

– Spakujemy te książki do pudełek i worków... przyniesiemy, mam kilka paczek... Może da się wiele książek uratować... Chodź! – powiedział nieco jękając się. Wstał nie gasząc papierosa. Śmierdziało machorką.

* * *

Jedyną książkę jaką przeczytałem w tym wieku (9 – 10 [lat]) to była pożyczona powieść Baxtera Georga Owena pod tytułem *Drewniana broń*. Ponieważ „Wypożyczalnia Pawłęgi”² na wadowickim Zbożnym Rynku była już nakazowo nieczynna więc pożyczyłem książkę od kolegi mieszkającego na Adolf Hitler Platz. Ale jej nie przeczytałem do końca, bo nagle mi gdzieś zniknęła. Podejrzewałem, że została na wozie węglarza Wista-Wio, z którym jeździłem jako pomocnik do noszenia węgla. Pewnie stary węglarz – jak zwykle zmorzony samogonem – wyrzucił ją, bo nie sądzę, aby przeczytał...

Trudno.

Mój starszy brat, Józek, podjął – w swojej naiwności i na zew patriotycznego ducha – próbę ratowania co cenniejszych książek ze szkolnej biblioteki. Wytargaliśmy na strych szkoły dwie szafy pobrane z jednej z opuszczonych sal i tam poukładaliśmy część książek. Brat robił to pedantycznie, starannie, założył nawet skorowidz książek, dokładnie je ponumerował i założył kartoteki własnej produkcji. Fachowo to zrobił, nie ma co gadać.

„Wypożyczalnia na strychu” rozpoczęła nielegalną działalność, której szefem był brat. Ja się do tego nie nadawałem.

Niebezpieczny paradoks: W niemieckiej szkole, polska wypożyczalnia książek zakazanych przez okupanta. Na pewno wśród tych książek były tytuły: *Potop*, *Pan Tadeusz*, *Sierotka Marysia*, *Wiersze wybrane* (Słowackiego), *W pustyni i w puszczy*, i wiele innych. Trwało to dość długo, aż jednego dnia Tercjana jednak zaniepokoiła ta działalność, zobaczył, co jest grane i kazał natychmiast zlikwidować „wypożyczalnię”. Zrobił to w porę, bo zdążyliśmy kumplom – tuż przed niemiecką kontrolą budynku – rozdać wszystkie książki, jakie mieliśmy na strychu, już niemieckiej szkoły. Nakrycie tej „z bożej łaski wypożyczalni” mogło dla ojca, no i dla nas, źle się skończyć...

* * *

Gruchnęła wieść, że w Papierni (fabryka) i na boisku dawnego „Sokoła” palić będą polskie

² Stanisław Pawłęga prowadził prywatną wypożyczalnię książek.

książki. Zwozili je samochodami.

Przyszedł dzień 20 kwietnia, dzień urodzin Hitlera. Głośniki w rynku grały *Marschmusik*, wszędzie zaczerwieniło się od fan. Adolf-Hitler-Platz wypełnił się głośnym śmiechem i wrzaskiem niemieckim. Wielu mundurowych przybyło na uroczyste obchody.

Przed budynkiem „Sokoła”, na boisku sportowym, młodzi z Hitlerjugend, pod okiem starszych w brunatnych strojach partyjnych wodzów, zbudowali wysoki stos ogniska, przy którym zbierały się kolumny hitlerowskie. Zwozili książki, w tym z „Wypożyczalni Pawłęgi”.

Jakże proroczo wówczas brzmiały słowa H. Heinego, poety niemieckiego epoki romantyzmu pochodzenia żydowskiego (1797 – 1856): *Tam gdzie książki palą, niebawem także ludzi palić będą.*

Palenie książek w Niemczech rozpoczęło się już 10 marca 1933 roku. Wówczas wezwano ludzi do niszczenia i palenia książek, które były autorów pochodzenia żydowskiego lub które były wymierzone – zdaniem hitlerowskich ideologów – przeciw niemieckiemu duchowi (*Wieder den deutschen Geist*). Palono szczególnie książki takich autorów jak: B. Brecht, E. M. Remarque, K. Marks, Z. Freud, czy H. Heine.

Wieczorem rozpoczęły się uroczystości. Stałem z kolegami za murem budynku „Sokoła” i zza węgła, w ukryciu, obserwowałem jak przebiegała parada: W blasku ognisk wołano: *Niemcy, przebudźcie się!*

Wtedy:

Ręce wyciągają się w faszystowskim pozdrowieniu i rozlega się śpiew. Trwa to dość długo i kiedy wszystko cichnie, padają komendy. Ogień bucha strzeliście do nieba przebijając mrok czerwienią błyskawic, słysząc trzask palących się polan. Ktoś przemawia przez tubę przekrzykując szum ogniska.

Znowu gra orkiestra, podnoszą się sztandary i flagi.

Nowe komendy.

Ryk z setek gardeł.

Śpiewają Horst-Wessel-Lied³. Słowa pieśni ścielą się po murawie i wzbijają w czerń nocy.

Nowe komendy.

Sztandary pochylają się i głosy milkną. Cisza. Po chwili głos werbli przebija się przez trzaskający ogień. [- -]

Nowe komendy wydane donośnym głosem i szeregi rozstępują się. Znowu ryk. Wylania się, oświetlona blaskiem ognia sterta książek. Kilku umundurowanych podchodzi do niej, podnoszą książki i przy wtórującym krzyku i łomocie werbli wrzucają je do ognia. [- -]

3 Pieśń „Horst-Wessel-Lied”, inna nazwa „Die fahne Hoch”, była hymnem NSDAP i nieoficjalnym hymnem III Rzeszy. Jej słowa napisał w 1929 r. Horst Wessel, SA-Sturmführer, zamordowany rok później w Berlinie. Pieśń po raz pierwszy została wykonana na pogrzebie jej autora.

Niemcy śpiewają, chwycili się pod ręce kołysząc się w rytm marsza. Teraz do palenia książek przystąpili najmłodszy, ci z Hitlerjugend! Młodzi robią to z zapalem, z przeświadczeniem misji dziejowej, jaką im zaszczytnie powierzono. Ogień wzbija się w niebo, wydaje się dotykać chmur.

Rozlegają się krzyki, wyraźnie słychać głos z tuby:

- Adolf Hitler!

Wyciągają się ręce i z gardeł wydobywa się wrzask:

- Sieg heil!

- Sieg heil! Sieg heil! Sieg heil!

Orkiestra gra i książki się palą. Ogień trawi książki unosząc spalone cząstki papieru zadrukowane polską mową prosto ku niebu, a lekki wiatr rozsiewa je po trawie, drzewach, dachach pobliskich domów, ulicach i placach. Jak gdyby chciał oddać, jak się oddaje prochy ludzkiej rodzinie, spalone karty mieszkańcom Wadowic⁴.

Na zakończenie rozległa się butna pieśń Hitlerjugend:

Die Fahne hoch! Die Reihen fest geschlossen!

SA marschert mit ruhig festem Schritt

Kam'raden, die Rotfront und Reaktion erschossen

Marschier'n im Geist in unser'n Reihen mi. [- -]

* * *

W okresie okupacji nie udało mi się przeczytać jakiegokolwiek książki. Jeśli miałem trochę czasu – woląłem kopać szmaciankę...

Jako mieszkaniec szkoły niemieckiej w latach 1940 – 1944 musiałem codziennie patrzeć na niemieckich uczniów. Przyznaję, że przyglądałem im się z ciekawością, co tu ukrywać – z zazdrością. Zanim się pojawiła pierwsza grupa niemieckiej młodzieży, władze okupacyjne, w obecności gestapowców i przyszłego dyrektora szkoły, chudego, przygarbionego, nieco wypłoszonego Brandta⁵ oraz – oczywiście – Tercjana Szkoły Wydziałowej Żeńskiej imienia Jego Wysokości cesarza-króla Franciszka Józefa I w Królewskim już nie-Wolnym Mieście Wadowitz, który brzęczał kluczami od każdego pomieszczenia – zrobili przegląd budynku, czy nadaje się na rozpoczęcie w nim nauki córek i synów „nowych wadowitzan”. Uznano, że nadaje się, ale trzeba w nim zrobić zmiany. Po wizycie, Tercjan spocony, zmęczony, opadły powiedział do żony-

⁴ J. I. Korzeniowski, *Szkoła*, Wrocław 1996, s. 69-70.

⁵ Gerhard Brandt był dyrektorem szkoły niemieckiej (J. I. Korzeniowski, *op. cit.*, s.105).

Agnieszki:

- Będziemy tu mieli teraz niemiecką szkołę...

Matka nic nie powiedziała, ale domyślałem się, co jej przemknęło przez ozdobioną pierwszą siwizną głowę: - „Aby tylko nas nie wyrzucili na tułaczkę!”. Wiem, bo i mnie to przeleciało przez jeszcze mało wykształcony mózg. Po kilku dniach ciszy, dwóch żandarmów przyprowadziło grupę więźniów, Żydów, i rozpoczęła się praca porządkowa. Grupą kierował cywil, kurdupel, z którym rozmawiał tylko Tercjan. Klasyfikowano ławki, te stare zaznaczono do wyrzucenia, nowsze podlegały myciu. To samo z innymi meblami. Podłogi smarowano oliwą, korytarze zamiatano z wykorzystaniem wilgotnych trocin mających chronić przed kurzem. Do prac porządkowych włączył się Tercjan (naprawy, dorabianie kluczy itp.) oraz Agnieszka, myjąc okna. Zakazano jednak jakichkolwiek zbliżeń do więźniów, szczególnie nie wolno było cokolwiek podawać i jak ostrzeżono – w takich przypadkach strażnik miał prawo nie tylko aresztować ale i zastrzelić.

Wszelkie rozkazy trzeba było wydawać za pośrednictwem żandarmów lub kurdupła, który nie żałował gardła darząc więźniów wyzwiskami. Wkrótce cała piwnica i strych załadowane były meblami, przeznaczonymi na drewno do palenia w piecach. Do mnie należało rozbijanie siekierą ławek i robienie z nich szczap opałowych. Robiliśmy to na zmianę z Józkiem (bratem). Stanowisko było urządzone w piwnicy tuż koło windy i boksów na węgiel.

W pierwszym dniu, już wieczorem, kiedy szkoła była już zamknięta zmęczona matka powiedziała cicho:

- Kiedy żandarmi są zajęci rozmową lub się na chwilę oddalą, to więźniowie szepczą, prosząc o kawałek chleba...

- Wiem, i mnie dolatują ich prośby... ale, co możemy zrobić?

- Będę robić kromki z tego, co mamy i wkładać je pod ławki i do szuflad...

- Tylko, rany boskie, żeby ktoś tego nie zauważył... wiesz, co nam grozi: śmierć...

Nie odpowiedziała – nie chciała mówić, aby nie wywoływać wilka z lasu. Rano wstawiała wcześniej i ubierała spódnicę z kieszeniami, chowając w nich kanapki.

Praca trwała ponad tydzień, po którym przywieziono nowe meble: ławki, stoły, krzesła, szafy... Potem przybito szyld, korzystając z uchwyty obok bramy głównej wywieszono *Fahny*⁶.

Fertig!

* * *

Kolejna wizyta musiała wypaść dobrze, gdyż gestapowiec i Brandt (dyrektor szkoły) uznali, że szkoła jest już gotowa na przyjęcie niemieckich uczniów.

⁶ Fahne (niem.) – chorągiew.

Zjawili się nagle. Ich pojawienie zaskoczyło mnie. Pierwszą grupę stanowili młodzi z organizacji Hitlerjugend. Przyszli w szyku zwartym, kończąc machanie nogami głośnym, dumnym waleniem podeszwami z ćwiekami o koci bruk ulicy Immelmannstrasse 9⁷. Byli w mundurach lecz bez plecaków obszytych cielejącą skórą. Jednak dopiero na drugi dzień rozpoczęła się ceremonia otwarcia szkoły. Na podwórku szkolnym, niedaleko studni cembrowanej i żelaznej pompy (rączka z kulą), na wysokim maszcie powiewała na wietrze czerwona flaga z *hakenkrojcem*. W okolo niej dziewczęta i chłopcy, wszyscy w mundurach (dziewczyny w białych bluzach z czarnymi krawatami), ustawieni w kwadrat słuchali przemówień mundurowych ważniaków i dyrektora szkoły, co jakiś czas przerywanych podniesieniem rąk i okrzykami: *Heil Hitler!*, *Sieg Heil!* Potem odśpiewano *Die Fahne Hoch!*⁸

Obserwowałem to z okna ubikacji należącej do mieszkania Tercjana. Dziewczyny z Mädelchaft⁹ oraz chłopcy z Hitlerjugend byli dobrze wyszkoleni w musztrze, chodzili równo, prężnie, jak na defiladzie, lub jak pajace na sznurku...

Poza tym byli normalni.

Myślę, że młodzież we wszystkich krańcach świata, nawet ta z buszów afrykańskich, ma jedną cechę wspólną: lubi się popisywać wyczynami. Niemiecka młodzież, tak jak i polska, choć w diametralnie różnych warunkach, lubiła bzikować, hałasować, biegać, przechwalać się. Chłopcy lubili zalecać się do dziewczyn, a dziewczęta do chłopców...

Młodzi Niemcy byli ciekawi ludzi, którym starsi zabrali wolność. Potem dopiero zrozumiałem, że byli oni też już zainfekowani ideą narodowosocjalistyczną. Szczególnie ziało wrogością od *Jugendfuhrerów*.

Początkowo szkoła nie miała elektrycznego dzwonka oznajmiającego przerwy lub rozpoczęcie lekcji. Chodziłem zatem skurczony lękiem, z dużym, ręcznym, mosiężnym dzwonkiem i machając nim aż do bólu w prawej ręce. Dzwonnik Quasimodo! To był mój *garb karmiczny*, jako kara za sumę złych uczynków popełnionych w poprzednim wcieleniu.

Amen.

Czego im zazdrościłem? Szkoły! Jako uczeń przedwojennej pierwszej klasy i częściowo klasy drugiej – nie miałem okazji poznać uroku szkoły, zapachu książek i zeszytów. Teraz, w czasie okupacji, przeganiany z budynku do budynku, ze wsi do wsi, chłodno, głodno, chodząc zwykle na lekcje raz na tydzień, albo nawet nie – nie miałem okazji poznać dziecięcego, uczniowskiego klimatu szkoły. Pracując w szkole niemieckiej, jako sprzątaczką, węglarz i dzwonnik Quasimodo mogłem bliżej poznać atmosferę szkoły niemieckiej.

7 W latach okupacji ul. Sienkiewicza nosiła nazwę Immelmannstrasse (por. G. Studnicki, *Jeszcze o nazwach ulic i placów w Wadowicach*, „Wadoviana. Przegląd historyczno-kulturalny”, nr 2, 1998, s. 75).

8 Por. przypis 3.

9 Mädelchaft – podstawowa komórka organizacyjna Bund Deutscher Madchen, będącej żeńskim odpowiednikiem Hitlerjugend. Organizacja zrzeszała dziewczęta w wieku 14 – 18 lat.

Ideologia nazistowska oraz wojna były w niej wszechobecne. Na ścianach wisiały rysunki malowane przez młodzież, których tematyką była wyłącznie wojna: spadające bomby, strzelające czołgi, żołnierze w okopach, amfibie pokonujące rzeki, armaty ziejące czerwono-żółtym ogniem, zabici, zakrwawieni ludzie, zburzone domy, samoloty bojowe...

Cała potworność wojny wisiała na obrazkach przybitych pinezkami do listwy na ścianach. Były też laurki dla Hitlera, którego wielki portret wisiał nad katedrą w każdej klasie. Führer, w mundurze i czapie, patrzył na przeciwległą ścianę, na gęby Goebbelsa i Göringa. Göring ledwie mieścił się w ramach, uśmiechnięty grubasek; Goebbels o podłużnej, kościstej twarzy podobny był do mumii egipskiej.

Na ścianie z oknami powieszono reprodukcję drzeworytu „Czterej jeźdźcy Apokalipsy” (Wojna, Zaraza, Głód i Śmierć). Jako szczeniak, długo patrzyłem na ten obraz nie znając jednak jego wykładni. Wiała od niego jakaś groza. Kojarzyłem ją z grozą życia pod okupacją. Rozszalałe konie jeźdźców galopowały również przez Wadowice... Pod obrazem wisiał napis: „Młodzież musi kierować młodością” – drogowskaz: od czterech jeźdźców?

Na korytarzu pierwszego piętra ustawiono na stoliku gipsową głowę Hitlera i otoczono ją kwiatami. Biel gipsu doskonale kontrastowała z czerwoną *faną* i *hakenkrojcem*¹⁰ w białym kole. Młodzi Niemcy musieli być niegłodni, skoro pozostawiali zawinięte w serwetki kromki chleba, zwykle posmarowane margaryną i marmoladą, rzadko z plastrami żółtego sera lub kielbasy. Zostawiali je pod ławkami. Sprzątając szukałem tych kromek: nadgryzione zbierałem jako karmę dla kur, a te nienaruszone, lub dające się odkroić od śladów zębów - po prostu zjadałem.

Głód miał swoje prawa.

Większość młodzieży, szczególnie dziewczęta, zachowywała się w stosunku do mnie tolerancyjnie, wiedzieli i znali mnie jako syna woźnego, podczłowieka. Jednak były i zgrzyty. Chodzi głównie o *Jugendfuhrerera* Horsta, którego przyłapałem na kradzieży liny alpejskiej.

Granda była nie z tej ziemi.

Co młodzież niemiecka czytała? Nie wiem. Przez te lata szorowałem klasy niemieckie i wiem, że nigdzie nie założyli biblioteki szkolnej, ani nie postawili małej półki z książkami. Prawdopodobnie czytali tylko to co nakazał Adolf H. – propagandowe czasopisma.

* * *

Muszę jednak powiedzieć, że nie wszyscy, dziewczyny i chłopcy, odnosili się do mnie źle. Raczej traktowali mnie, jakbym był niewidoczny, nawykli bowiem do mojego wyglądu i nie zauważali mnie. Byli i tacy, którzy omijali mnie z daleka. Wyczuwałem w nich pogardę...

10 Hakenkreuz (niem.) – swastyka.

I lęk.

Jedna z dziewcząt, o włosach brązowych i takich samych oczach, ładnej twarzy, zawsze przyglądała mi się uważnie, jak patrzyłoby się na istotę człekokształtną z epoki kamienia łupanego. Byłem dla niej dziwadłem. Tak było na początku. Kiedyś przeskakiwałem przed szkołą z kołka na kołek (oba wystawały z ziemi) wtedy podeszła do mnie na pięć metrów patrząc na mnie z ciekawością, jak mi się wydawało, uśmiechając się kącikami ust. Poczułem się trochę nieswojo, ale nie przestałem pajacować. Była wyraźnie nastawiona przyjaźnie. Na drugi dzień widziałem ją skaczącą z kołka na kołek. Ładna była, nie powiem... Szczególnie podobały mi się jej włosy uczesane w sześć rurek zwisających symetrycznie po trzy z tyłu głowy. Potem, ilekroć się spotykaliśmy mijając się, ona uśmiechała się do mnie, a ja do niej. Ten metr, to odległość mała, ale trzeba było jeszcze kilku pokoleń, aby ją przejść... Brakło wtedy jednego, małego kroku do przodu...

Zakazany! Verboten!

*

Gabinet dyrektora Brandta niewiele się różnił od dawnego, polskiego. Te same meble, te same kwiaty, w tym jeden wysoki do sufitu filodendron, własność pani Heleny Szczepańskiej, byłej dyrektorki. Zmienił się jednak klimat pomieszczenia. Zamiast białego orła, wisiał Hitler. Na biurku i na regale leżały niemieckie książki, afisze i czasopisma, gazety, jak na przykład „Hitler Jugend Zeitung”. Innych nie pamiętam, chyba „Junge Welt”. Na stoliku, koło radia, leżała „biblia” *Mein Kampf*. Radio! Tu, przy nim spędzał noce woźny. Co noc siedziałem w oknie, na czatach uważając na ulicę i bramę szkoły. To stąd szły na Wadowice wieści z londyńskiego „bibisi”! Wieści ku pokrzepieniu serc. Tu potajemnie spotykali się wadowiczanie. Wiem, bo stałem na straży kiedy konspiratorzy słuchali wiadomości z Londynu. Groził nam wszystkim areszt i pewna śmierć...

* * *

Szkoła miała dwa gabinety: modelarski i przyrodniczy. Szczególnie zazdrościłem im modelarni, tam było wszystko potrzebne do robienia modeli. Chłopcy lubili robić szybowce, ale jak to na Niemców wypadalo, wszystko robili pod jeden wzór, na jedno kopyto, bez jakiegokolwiek fantazji. Potem puszczały je, pomalowane na barwy wojenne, przez okno ostatniego piętra. Pięknie latały krążąc nad studnią, czasem jednak urywały się i uderzały o drzewa plant poza ogrodzeniem podwórka szkolnego. Jako „sprzątaczką” lub Quasimodo (jak kto woli) miałem klucze do drzwi, więc układałem starannie narzędzia i materiały, zmiatałem sterty trocin i odpadków. Czasem

jednak, wieczorem, gdy szkoła opustoszała, korzystałem z modelarni wycinając laubzegą różne figury i elementy... własnego szybowca... Oczywiście korzystałem skromnie z materiałów modelarskich Tysiącletniej Rzeszy...

Zrobiłem kilka modeli udanych szybowców. Jeden z nich zniszczył mi Horst kiedy nieopatrznie wypuściłem szybowiec z dachu szkoły, w chwili, gdy w szkole była zbiórka grupy Hilerjugend. Ten *Kulturträger*¹¹ musiał wiedzieć, że to mój, bo wściekle wdeptał go w ziemię, robiąc z niego miazgę.

Drugi gabinet, przyrodniczy, był taki sam jak dawny gabinet Szkoły Wydziałowej Żeńskiej imienia Jego Wysokości cesarza-króla Franciszka Józefa I w Królewskim Wolnym Mieście Wadowice. Te same eksponaty. Praktycznie nic się nie zmieniło – kaczki, kuny, lisy, jaszczurki, węże i inne wypchane zwierzęta straszły z półek i przeszklonych gablotek. Centralnym eksponatem był ten sam stary znajomy kościotrup, tak samo szczękający ruchomymi szczękami w szyderyczym uśmiechu jak dawniej do polskich dzieci. Jemu było obojętne do kogo się śmieje. Świnia! Kiedy nieostrożnie dotknąłem go miotłą, jego – nawet najmniejsze – kosteczki trząsły się na sprężynkach, a on sam wyciągał do mnie ręce i groził mi białymi, kościstymi palcami.

Miał naprawdę głupi uśmiech.

Nie lubiłem go.

Najgorsze były zimy. Trzeba było obsłużyć piece kaflowe: narąbać drwa, nanosić i wyholować windą węgiel, wstać przed czwartą rano i napalić w wielu piecach, aby sale były ciepłe gdy przyjedzie młodzież. Gdy „nasuło śniega” – jak mówił Terejan – dochodziła dodatkowa praca: zgarniać śnieg z dachu szkoły i z ulicy Immelmannstrasse 9.

* * *

Od młodzieży niemieckiej – jako że mózg miałem jeszcze niezlasowany – przejąłem dwie rzeczy: grę w *hast-du-habe*, czyli gra w „zielone” (trzeba było na każde zawołanie *hast-du-habe?* – pokazać coś żywego, nie wysuszonego, zielonego – zwykle był to liść trawy lub krzaka czy drzewa), oraz przekleństwa: *Donnerwetter!*, *Verflucht*, *nochmal!*, *Scheisse!* *Schweinehund!* To te łagodniejsze.

Potem jeszcze nauczyłem się wołać: - *Fligealarm!* Jednak to już było później, kiedy czerwone chorągiewki na mapie Europy, w gabinecie Brandta, zbliżały się do granic dawnej Polski.

Ale cofające się chorągiewki nie były już przekleństwem lecz wyrazem mojej radości i nadziei.

11 Kulturträger (niem.) – osoba roszcząca sobie prawo do narzucania innym swoich zasad i swojej kultury.

*

Po wojnie, pierwszą książką, z jakiej się uczyłem w szkole był podręcznik do nauki historii (wydanie przedwojenne) a drugą – książka do łaciny. Nie były oficjalnie zalecane, ale nauczyciel powiedział, że można do niej zaglądnąć, no więc pierwszą pożyczyłem od Heńka Jodłowskiego i wykułem coś na temat wojny z Tatarami. Tylko to, bo belfer powiedział, że będę pytany z tego tematu.

Wykułem... no i kłapa. Trema mnie zjadła. Wywołany do tablicy stałem jak głupi kolek w płocie i nie potrafiłem powiedzieć słowa. Miałem potem żal do nauczyciela, że nie podpowiedział mi chociaż jednego słowa o Tatarach, a wtedy pewnie ruszyłaby lawina wykutej wiedzy. Koledzy też nie podpowiedzieli, bo nie wiedzieli, co rozumiałe, bo co mieli się uczyć, skoro ja miałem być pytany? No więc dwójka! Nie warto było się uczyć. Po powrocie do domu oddałem Heńkowi „Rogowie” książkę i obiecałem sobie, że nigdy do niej nie zajrzę.

Dotrzymałem słowa.

Druga książka to też niewypał. Dyrektor gimnazjum, Jan Królikiewicz, uczący nas z lubością łaciny, zagroził mi, że wyleje mnie z klasy jeżeli nie nauczę się odmiany *Plysquamperfectum indicativi*. Słowo daję, uczyłem się z pożyczonej książki, paląc naftową lampę w kuchni aż do północy. *Disce puer* poszedł mi łatwo, ale do dziś nie potrafię po polsku wyrazić *czynności przeszłej uprzedniej w stosunku do innej czynności przeszłej*, a co dopiero po łacinie. Zatem oblałem z kretesem. Dla tego miłego pedagoga łacina miała być dla nas, uczniów, wielką rozkoszą w życiu dorosłych. To mnie ostatecznie zraziło do „naukowych” książek. Teraz to wydaje mi się dziwne, bo napisałem 10 książek technicznych z dziedziny „Górnictwo”. I inne.

Ostatecznie pan dyrektor Królikiewicz wywalił mnie z klasy „łacińskiej” i przeniósł do co dopiero formowanej klasy dla tępaków, którym łacina do niczego nie była potrzebna. Do dziś czuję wstręt do łaciny.

Jaka ulga!

Trudno, odrzuty i wybrakowania zdarzają się w każdej fabryce, a nawet w gimnazjum w Wadowicach. Trzeba pamiętać, że były to czasy kiedy wierzono w słowa króla Stefana Batorego wypowiedziane do ucznia w Zamościu: *Disce puer latine, ego faciam te mościpanem* (Ucz się, chłopcze, łaciny, a zrobię cię panem).

A inne książki?

Trzecią książką był *Winnetou* Karola May’a. Przeczytałem ją za namową brata, Józka, wielbiciela Indian i dzielnego Apacza. Przywiązywał mnie do pala męczarni i odprawiał tańce wojenne, choć nie miałem ochoty z nim walczyć, bo nie znał się na żartach i był starszy i silniejszy. Stojąc przez pół dnia przywiązany do drzewa służącego za pal męczarni uznałem wtedy za

racjonalne poznać zwyczaje Indian i zgodziłem się przeczytać o nich książkę.

No, to było to!

Pokochałem Winnetou i Old Shatterhanda i Apaczów i Komańczów i Siuksów i innych czerwonoskórych. Nawet malowałem sobie twarz na barwy wojenne. Teraz, gdybym nie był łysy – nosiłbym fryzurę małpując Irokezów. Nikt nie śmiał mi wtedy zawracać głowy lekturą szkolną.

Nie ma się z czego śmiać: *cyberprzestrzeni* jeszcze w tym czasie nie odkryto, a więc nie znano przestrzeni otwartego komunikowania się za pośrednictwem połączonych komputerów i pamięci informatycznych pracujących na całym świecie. Matrixu też nie było. O zakrzywionej czasoprzestrzeni nikomu się nawet nie śniło...

Kiedy mi latek przybyło i nasyciłem się już dzielnymi ludźmi Dzikiego Zachodu – wyjechałem z Wadowic na Dzikie Zachód... *pardon!*, Odzyskane Ziemie grzęznąc w internacie, w którym (jak i w szkole) nie było biblioteki. Wybrałem wtedy proste wyjście: przestałem czytać książki. Wiem, nie ma się czym chwalić. Trudno, ale „tak było”, jak mówiła Teściowa po oglądnięciu w TV milionowego odcinka filmu *Szansa na sukces...*

Człowiek do wszystkiego musi dojrzeć, nawet do czytania książek. Ja dojrzałem w wieku 22 lat. Pewnie późno, ale lepiej niż wcale... Zacząłem od Rudyarda Kiplinga *Księga dżungli*. Dlaczego? Bo młodego wychowanka wilków Maugliego kojarzyłem z... Tarzanem...

Podobały mi się też Prawa Dżungli...